TIM WEAVER

BARDZO ZŁE MIEJSCE

BEZ KŁAMSTW NIE MA SEKRETÓW

1

Potrzebowali godziny, aby dojechać do plaży w niewielkiej zatoczce w kształcie podkowy na południowym krańcu hrabstwa. Ojciec chciał się tam znaleźć wcześnie, aby uniknąć walki o miejsce na malutkim parkingu, a także dlatego, że ktoś z ich wioski powiedział mu, że jest tam pięć miejsc – schowanych pod potężnym trzydziestometrowym urwiskiem – które przez cały dzień pozostają w cieniu. Kiedy dotarli do celu i zobaczyli, że dwa z nich są jeszcze wolne, ojciec wystukał triumfalny rytm na kierownicy hillmana avengera i zaczął pogwizdywać. Jego żona, która siedziała obok, szeroko się uśmiechnęła.

– Chyba możemy uznać, że jesteś zadowolony.

– Za wcześnie na lody?

Przewróciła oczami.

– Dopiero co zjedliśmy śniadanie.

– To było ponad godzinę temu – rzucił żartem. Kiedy zaparkował i wyłączył silnik, obejrzał się na tylne siedzenie. Jego syn klęczał, z palcami przyciśniętymi do szyby, i wyglądał na zatoczkę. – Co o tym myślisz, synku?

– Można się tutaj wspinać po skałach, tato?

Ojciec się roześmiał.

– Tak, można się wspinać.

Właśnie trwał odpływ i cofające się fale pozostawiły za

sobą połać pomarszczonego piasku. Woda, przezroczysta jak szkło, była częściowo zamknięta w łagodnym półkolu zatoczki, którą z otwartym morzem łączył kanał. Gdy chłopiec tam patrzył, miał wrażenie, że widzi bezkresny świat. Podekscytowany, pomógł tacie zanieść na plażę dwa leżaki i jedzenie, potem wrócił po wiaderko i łopatkę i pobiegł w stronę wody. Matka zawołała za nim, aby zbytnio się nie oddalał, a on odkrzyknął, że dobrze. Podczas gdy ojciec przygotowywał ich stanowisko, matka obserwowała chłopca, którego ślady wiodły aż do brzegu.

– Ależ on wyrósł – powiedziała.

– Ma dopiero osiem lat, Marie.

– Wiem. – Zamilkła, obserwując, jak chłopiec zanurza stopę w wodzie. – Ale czy nie uważasz, że czas pędzi jak szalony? Mam wrażenie, że zaledwie wczoraj położne podały mi go po raz pierwszy. A teraz tylko na niego popatrz.

– Fajny chłopak.

– Wiem. Nie o to mi chodzi. Po prostu… zanim się obejrzymy, ożeni się i sam będzie miał dzieci. Może nawet tu nie zostanie.

– Oczywiście, że zostanie.

– Tutaj nie ma dla niego zbyt wielu możliwości, Tom.

– O czym ty mówisz? Przejmie firmę po mnie.

– Mówi, że tego nie chce.

– Ma dopiero osiem lat. – Tom stanął za plecami żony i objął ją w pasie. – Nie wie, czego chce. Ja w jego wieku pragnąłem zostać astronautą.

– Po prostu nie chciałabym, żeby o nas zapomniał.

Pocałował żonę w policzek.

– Nie zapomni o swojej starej matce.

Chłopiec odwrócił się w ich stronę i pomachał do niej.

– Mamo! – zawołał. – Mamo, chodź i zobacz.

– Widzisz? – dodał ojciec. – Mówiłem ci.

Marie ponownie się uśmiechnęła, pocałowała męża w po-

liczek i ruszyła w stronę syna, który stał po łydki w wodzie i wskazywał coś na skraju zatoczki. Początkowo nie widziała, co przyciągnęło jego uwagę, ale w końcu zobaczyła na wodach kanału samotny kształt, niczym opuszczony, dryfujący statek.

Wyspa.

Usiłowała zapomnieć, jak blisko od niej się znajdują.

– Co się stało, kochanie?

Ale już wiedziała. Wyspa wystawała ponad powierzchnię wody jak płetwa, skalisty odłamek oddalony od brzegu o czterysta metrów, niezgrabny, potrzaskany, złowrogi. Nawet z tej odległości, pomimo światła odbijającego się od wody i prażącego słońca, było w niej coś mrocznego; historie, które miała do opowiedzenia, i wspomnienia, które wolałaby wymazać.

Kobieta instynktownie położyła dłoń na ramieniu syna.

– Co to za miejsce, mamo? – spytał chłopiec.

Patrzyła w stronę kanału, zastanawiając się, co ma odpowiedzieć.

– Mamo?

– To… To jest…

– No co? – dopytywał się chłopiec. – Co to takiego?

W końcu powoli, odruchowo, przygarnęła go do siebie.

– To złe miejsce, kochanie. Bardzo złe miejsce.

2013

2

Dom, którego adres otrzymałem, stał przy stacji rozrządowej w Pimlico. Dwupiętrowy budynek z żółtej cegły znajdował się w odległości czterystu metrów na południe od dworca Victoria, niemal nad brzegiem Tamizy. Nie było na nim żadnej tabliczki, a w oknach panowała ciemność, co sugerowało, że jest opustoszały. Jednak nie był. Gdy podszedłem bliżej, zauważyłem, że drewniane drzwi zostały niedawno pomalowane na bladoniebiesko, a na ścianie zamontowano kamerę monitoringu skierowaną na wejście. W ścianie obok drzwi widniała klawiatura domofonu. Zadzwoniłem.

W miejscu, gdzie stałem, rzekę niemal całkowicie przesłaniały rdzewiejące żelazne przęsła mostu kolejowego, jednak między nimi dostrzegłem powolną procesję statków wycieczkowych przecinających wodę. Zbliżało się Boże Narodzenie, więc okna wszystkich jednostek były przystrojone migającymi światełkami, a niektórzy z turystów – nie zważając na zimowy chłód – stali na pokładach, ubrani w czapki Świętego Mikołaja. Poza tym poranek wydawał się dziwnie cichy i szary, jakby miasto zapadło w sen zimowy.

Po kilku sekundach domofon zabrzęczał i drzwi odskoczyły od futryny. Za nimi znajdował się krótki korytarz z wypolerowaną dębową posadzką i dużym, łukowato sklepionym oknem, przez które wpadało światło rozlewające się po ścia-

nach i suficie. Wszystko było pomalowane taką samą farbą w kolorze złamanej bieli, nie licząc dwojga niebieskich drzwi na końcu korytarza oraz marmurowego kontuaru po prawej stronie, za którym siedziała elegancko ubrana dwudziestokilkulatka.

– Pan Raker?

Kiwnąłem głową.

– Udało się pani zgadnąć?

Uśmiechnęła się, sięgnęła pod blat i wyjęła rejestr gości.

– Miałam pana oczekiwać mniej więcej o tej godzinie – odrzekła i położyła pióro wieczne na wierzchu. – Poproszę o datę i podpis, a potem wskażę panu, dokąd ma pan iść.

Wpisałem się do rejestru.

– Dzisiaj jest dwunasty grudnia, prawda?

– Zgadza się. – Kiedy skończyłem, skinęła ręką w stronę pierwszych niebieskich drzwi. – Tam znajdzie pan nasze sale konferencyjne. Pańska to Dickens. Potem może pan skorzystać z naszego zaplecza. W piwnicy mamy bar, a za tamtymi drzwiami jest restauracja. Podajemy posiłki od dwunastej do szesnastej, ale żeby pana obsłużono, musi panu towarzyszyć któryś z naszych członków.

– Rozumiem.

– Czy mogę panu jeszcze czymś służyć, panie Raker?

– Nie, to chyba wystarczy.

Przeszedłem przez pierwsze niebieskie drzwi.

Wzdłuż kolejnego korytarza znajdowało się ośmioro drzwi, po czworo z każdej strony. Wszystkie były zamknięte i opatrzone mosiężnymi plakietkami, na których widniały nazwiska brytyjskich pisarzy. Dickens był czwarty po lewej. Gdy się zbliżyłem, usłyszałem odgłosy rozmowy w jednej z sal. W pozostałych panowała całkowita cisza. Zapukałem dwukrotnie do Dickensa.

– Proszę wejść.

Sala konferencyjna była niewielka, ale doskonała: dębowa

posadzka, ściany w kolorze czekolady, trzyipółmetrowy stół oraz sięgające od sufitu do podłogi okna, które wychodziły na idealny ogród. Ponad nim dostrzegłem most kolejowy, ale gdyby nie to, łatwo można by zapomnieć, że budynek otaczają obiekty przemysłowe i drogi.

– Panie Raker.

Inspektor Melanie Craw wstała ze swojego miejsca u szczytu stołu, pozostawiając laptopa i zamkniętą tekturową teczkę, i podeszła się ze mną przywitać. Podaliśmy sobie dłonie, po czym zamknęła drzwi i gestem zaprosiła mnie do stołu. Zdjąłem marynarkę i usiadłem.

– Napije się pan czegoś? – spytała.

– Może wody. Dziękuję.

Craw miała czterdzieści kilka lat, szczupłą sylwetkę, krótką, praktyczną fryzurę i zimne, nieodgadnione spojrzenie. Żadnej biżuterii, nie licząc obrączki ślubnej. Nigdy nie nosiła spódnic, wyłącznie spodnie, zawsze w takich samych stonowanych kolorach. Była spokojna i zrównoważona, trudna do rozszyfrowania, ale niepozbawiona uczuć. Doskonale rozumiała ludzi i ich pobudki. Nigdy nie współpracowaliśmy, dochodziło między nami jedynie do uszczypliwych, często gorzkich konfrontacji, ale mimo wszystko ją podziwiałem. Nie miałem pojęcia, czy odwzajemnia to uczucie.

Kiedy podeszła do szafki w rogu, na której stały dzbanek z mrożoną wodą i kilka szklanek, zapadła między nami krótka, niezręczna cisza.

Może to wcale nie było takie dziwne. Zarabiam na życie odnajdywaniem zaginionych osób i przy okazji swojej pracy wszedłem raz Craw w paradę, gdy była starszym oficerem dochodzeniowym w sprawie, która niemal kosztowała mnie życie. Przez człowieka, którego oboje staraliśmy się dopaść, zostałem ugodzony nożem w pierś i pozostawiony na śmierć w mroku cmentarza. Dzięki mojemu szczęściu albo przeznaczeniu, bądź odrobinie jednego i drugiego, ktoś mnie znalazł

i spędziłem miesiąc, przykuty do szpitalnego łóżka, a następnie kolejne cztery na dochodzeniu do siebie w domu odziedziczonym po rodzicach, na południu Devon.

Potem zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek chcę wrócić do Londynu.

Ostatecznie zrobiłem to, nie tylko dlatego, że w mieście miałem więcej zleceń, ale także dlatego, że gdy ustąpił fizyczny ból, musiałem się jeszcze zmierzyć ze wspomnieniami tego, co mnie spotkało – a te wspomnienia były właśnie tutaj. Kiedy inspektor podała mi szklankę wody, pomyślałem, że – po tych osiemnastu miesiącach – Melanie Craw również jest inną osobą. Moje życie się zmieniło. Niemożliwe, aby jej pozostało takie samo.

– Dziękuję, że pan przyszedł – odezwała się. – Najwyraźniej nie miał pan problemów, żeby do nas trafić.

– Z zewnątrz budynek wygląda na opuszczony.

Uśmiechnęła się i usiadła.

– Pewnie dlatego tak się ludziom podoba.

– Jest pani członkiem?

– Dzięki mężowi. Takie miejsca… to raczej domena mężczyzn. Nie do końca to rozumiem, ale przychodzenie tutaj sprawia mu mnóstwo radości. Chętnie wykorzystuję to miejsce do takich spotkań.

– To znaczy jakich?

– Chciałabym zlecić panu pewne zadanie.

Dostrzegła zaskoczenie na mojej twarzy i pokiwała głową, jakby chciała dodać mi otuchy, po czym pchnęła teczkę w moją stronę.

Zerknąłem na nią, a następnie podniosłem wzrok na Craw.

– Chcę, aby pan kogoś znalazł.

Tym razem ja się uśmiechnąłem. Od dawna zdarzało mi się wchodzić w drogę funkcjonariuszom Scotland Yardu, wliczając Craw, oczywiście nieumyślnie i bez żadnej satysfakcji, ale jedynie przy okazji wykonywania swojej pracy. Uznawałem

to za skutek uboczny. Wykonywałem tę pracę nie po to, aby zdobywać przyjaciół, tylko po to, by odnajdywać zaginione osoby.

– Nie sądzę, aby policja zaakceptowała ten pomysł – odrzekłem.

– Ma pan całkowitą rację.

– Więc co tutaj robię?

– To nie jest zlecenie od policji.

Przyjrzałem się jej podejrzliwie, niepewny jej zamiarów. Myśl, że Craw mogłaby mnie prosić o pomoc – nawet jeśli upływ czasu zatarł wspomnienia o naszym ostatnim spotkaniu – wydawała mi się niemal nieprzyzwoita. Nie zrobiłaby czegoś takiego, nawet pod groźbą pistoletu. Jednak jej twarz ani drgnęła. Nic nie wskazywało, aby Craw żartowała.

Dlatego otworzyłem teczkę.

Ze zdjęcia przypiętego zszywaczem do pierwszej strony akt dotyczących zaginionej osoby popatrzył na mnie mężczyzna po sześćdziesiątce. Siedział na skraju skały gdzieś na wrzosowisku, a za nim rozpościerała się ogromna zielona dolina. Wyglądało na to, że zdjęcie zostało przycięte: przy jednej krawędzi widać było zarys drugiej osoby, a na dole kadru zauważyłem krzywiznę plecaka. Mężczyzna nazywał się Leonard Franks.

Zaginął trzeciego marca.

Sześćdziesiąt dwa lata, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, siwe włosy i niebieskie oczy – jednak wiedziałem, że ten opis nie pomoże mi go znaleźć. Kiedy ludzie zrywają z normalnym życiem, szybko się zmieniają: niekiedy z własnej woli, a niekiedy pod przymusem. Zresztą przeważnie po tak długim czasie większość zaginionych już o sobie nie decyduje, bo gnią w jakiejś dziurze i czekają, by ich odnaleziono. Chociaż ze względu na rodziny, z którymi pracuję, wychodzę z założenia, że ofiara żyje, Franks zniknął dziewięć miesięcy temu, a po takim czasie wygląd zaginionej osoby nie jest już istotny. Liczy się jej sposób myślenia. Jej odejście. Przyczyny zniknięcia.

Jej ostateczny los.

Popatrzyłem na adres.

– Mieszkał w Postbridge?

– Tak, mniej więcej półtora kilometra na północ.

To w samym sercu Dartmoor, niecałe sześćdziesiąt kilometrów od wioski, w której się wychowałem. Ale z jego papierów wynikało, że urodził się w Londynie i spędził w tym mieście całe życie.

– Przeprowadził się do Devon, kiedy przeszedł na emeryturę?

Skinęła głową.

– Dwa lata temu.

Zacząłem przeglądać zawartość teczki i teraz zobaczyłem, że Franks był policjantem i przeszedł na emeryturę w wieku sześćdziesięciu lat, jako szef wydziału zabójstw i poważnych przestępstw. To było wysokie stanowisko, a on zbierał znakomite noty za swoją pracę. Według dokumentów, złożył wniosek o emeryturę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, po trzydziestu latach służby, ale wtedy zastępca komendanta głównego poprosił go, aby jeszcze został.

– W jakich okolicznościach zaginął? – spytałem.

– Razem z żoną mieszkali w czymś w rodzaju starej myśliwskiej chaty – powiedziała Craw. – Do budynku przylega z boku szopa na drewno, a z tyłu szopa na narzędzia. To właściwie wszystko. Miejsce na uboczu. Do najbliższych sąsiadów jest około półtora kilometra, ze wszystkich stron są wrzosowiska i panuje taka cisza, że da się usłyszeć nadjeżdżający samochód pięć minut przed jego pojawieniem się w zasięgu wzroku.

Popatrzyła na zdjęcie Franksa leżące na stole.

– Pewnego późnego popołudnia siedzieli we dwoje przy kominku. Ogień zaczął przygasać, więc ona poprosiła go, aby przyniósł drewno. Był początek marca i wciąż było dosyć zimno, zwłaszcza na wrzosowiskach. Postawiła czajnik

na ogniu i ukroiła dla nich po kawałku ciasta, a on wyszedł do szopy. Robił to już setki razy; szopa na drewno znajduje się dosłownie na skraju werandy, niecałe trzy metry od drzwi frontowych. – Zamilkła i spojrzała na mnie. – Tylko że tym razem nie wrócił.

Zmarszczyłem czoło.

– Wyszedł do szopy i nie wrócił?

– Zgadza się.

– To dokąd poszedł?

Wzruszyła ramionami.

– Żona wyszła go poszukać?

– Tak.

– Ale go nie znalazła?

– Nie było ciemno, więc mogła dobrze rozejrzeć się na wszystkie strony. Nie zauważyła żadnych samochodów. Żadnych ludzi. Byli sami. Zupełnie jakby rozpłynął się w powietrzu.

Opuściłem wzrok na zdjęcie Franksa, a gdy przyglądałem się jego twarzy, nagle zwróciłem na coś uwagę. Dostrzegłem podobieństwo.

– Kim on jest? – spytałem.

– Nazywa się Leonard Franks.

– Nie, pytam, kim jest dla pani.

Przez chwilę milczała, nie odrywając oczu od zdjęcia, z dłońmi opartymi na blacie.

– To mój ojciec – odpowiedziała cicho.

3

Craw całkowicie znieruchomiała.

– Tata powinien był przejść na emeryturę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, tak jak chciał, ale zaproponowali mu dużo pieniędzy za pozostanie w pracy, a sądzę też, że w głębi duszy bał się, że będzie się nudził na emeryturze. Nie znał życia poza policją. Ona była całym jego światem. Dlatego przyjął propozycję i zdecydował się na kolejne pięć lat służby. – Popatrzyła na mnie, początkowo beznamiętnie, ale potem wzruszyła ramionami i domyśliłem się po jej minie, że uważała decyzję Franksa za błędną. – Po osiemnastu miesiącach zaczął żałować. Nie zamierzał się wycofać, bo nie miał w zwyczaju zostawiać ludzi na lodzie, ale stopniowo znienawidził Londyn. W ostatnich latach narzekał na wszystko: na nieustanny zgiełk, mieszkanie nad innymi ludźmi, ścisk w metrze, politykę władz miasta. Odliczał dni do sześćdziesiątki, aż w końcu razem z mamą zwinęli manatki i wyprowadzili się.

– Dlaczego wybrali Devon?

Znów wzruszyła ramionami.

– Zawsze uwielbiali to miejsce.

– Nie ma tam pani innej rodziny?

– Nie. – Przebiegła palcem wzdłuż krawędzi swojego laptopa, na chwilę pogrążając się we wspomnieniach. Jej rysy złagodniały, zapewne gdy pomyślała o ojcu, jednak potem przez

jej twarz przemknął grymas cierpienia. – Mniej więcej rok temu tata nawiązał znajomość z gościem, który nieco wcześniej zamieszkał razem z żoną w ich wiosce, niejakim Derekiem Cortezem. Zaprzyjaźnili się i okazało się, że Derek Cortez też kiedyś był gliną: przez wiele lat dowodził wydziałem dochodzeniowym. Powiedział tacie, że również przeszedł na emeryturę, ale wciąż współpracuje z CCRU jako konsultant.

Widziała po mojej minie, że znam ten skrót, oznaczający jednostkę zajmującą się powtórnym rozpatrywaniem nierozwiązanych zabójstw.

Ostygłych tropów.

– Cortez przeglądał dokumentację, przekazywał policji swoje ekspertyzy i w ten sposób trochę sobie dorabiał – kontynuowała Craw. – Wszystko całkowicie legalnie, tak samo robimy u nas. – Przesunęła dłonie w stronę szklanki z wodą. Przyciągnęła ją do siebie, ale się nie napiła. – Zapewne domyśla się pan, co było potem. Cortez powiedział, że może porozmawiać ze swoim człowiekiem w policji w Devon i Kornwalii i znaleźć podobną fuchę dla taty. Tata zapewne by odmówił, ponieważ dwa lata wcześniej odszedł ze służby i cieszył się emeryturą, ale razem z mamą musieli gruntownie wyremontować kuchnię, więc nie zamierzali odrzucać propozycji zarobienia dodatkowych pieniędzy. Poza tym praca nad ostygłymi tropami nie wiązała się z żadną presją. Tata wiedział, że policja ucieszy się z wszelkich nowych ustaleń, a rolę jego biura będzie pełniła weranda. Dlatego oznajmił Cortezowi, że przyjmie kilka spraw i jeśli pójdą mu dobrze, zdecyduje się na dalszą współpracę. Jeśli nie, nikt nie będzie miał pretensji.

Nachyliłem się i zanotowałem parę informacji.

Kiedy przyszedłem, było tu chłodno, ale teraz zaczynało się ocieplać, a klimatyzacja na ścianie łagodnie brzęczała.

– Co było dalej?

Nie odpowiedziała, wpatrzona w przestrzeń pomiędzy nami. Nagle przypomniałem sobie, jak półtora roku wcześniej

siedzieliśmy razem w domu zabójcy. Teraz tamta chwila się powtarzała, przeżywaliśmy ją na nowo, tyle że siedząc po przeciwnych stronach. Jeśli czegoś to dowodzi, to tego, że między ludźmi rodzą się więzi, a ich losy trwale się ze sobą łączą.

– Zanim przeszedł na emeryturę, przepracował w londyńskiej policji trzydzieści pięć lat – powiedziała, splatając palce na blacie. – Mnie właśnie upłynął dziewiętnasty rok służby. Jednak, o dziwo, nigdy nie rozmawialiśmy o pracy. Obojgu nam to odpowiadało: tata nigdy nie przynosił swoich spraw do domu, ponieważ pragnął wyraźnie oddzielić życie domowe z mamą od życia zawodowego, a ja nie chciałam, aby ktokolwiek w policji oskarżał mnie, że jestem przez niego wyjątkowo traktowana. Właśnie dlatego wstąpiłam do policji nie pod nazwiskiem Franks. Craw to panieńskie nazwisko mojej mamy. Tak było lepiej. Nigdy nie oczekiwałam ani nie pragnęłam żadnych specjalnych względów. Wszystko osiągnęłam sama, bez pomocy taty i jego nazwiska. – Zamilkła, patrząc na mnie. Mięśnie jej twarzy napięły się, jakby usiłowała powściągnąć emocje. – Ale potem coś się zmieniło. W dniu jego sześćdziesiątych drugich urodzin, dwudziestego trzeciego lutego, zabraliśmy z mężem dzieci i pojechaliśmy odwiedzić tatę, a on zaczął mi opowiadać o pewnej sprawie, którą przyjął.

– Co to była za sprawa?

– Wspomniał o konsultacjach, które załatwił mu Cortez. Rozmawialiśmy tylko we dwoje. Bill, mój mąż, był na górze; mama i dzieci już spały. Zaskoczyło mnie, że postanowił wziąć to zlecenie, ale jeszcze bardziej się zdziwiłam, że w ogóle porusza taki temat. Jak już mówiłam, zanim przeszedł na emeryturę, nigdy nie rozmawialiśmy o jego pracy, a teraz tata od razu zaczął mi opowiadać o sprawie, którą się zajmował. – Zerknęła na zdjęcie ojca. – Z jakiegoś powodu nie dawała mu ona spokoju.

Natychmiast dostrzegłem podtekst: Franks przez trzydzie-

ści pięć lat pracował w Metropolitalnej Służbie Policyjnej, dowodził wydziałem zabójstw, widział wszystko, całą krzywdę, jaką ludzie wyrządzają innym, cały mrok – a jednak dopiero ta sprawa wyprowadziła go z równowagi. Każdy glina czegoś takiego doświadcza i nie zawsze dotyczy to spraw, które są najstraszniejsze albo wzbudzają największy gniew. Czasami wyróżnia je coś innego.

– W jaki sposób nie dawała mu spokoju?

Drgnęła na dźwięk mojego głosu; moje pytanie wyrwało ją z głębokiego zamyślenia. W końcu się otrząsnęła, częściowo odzyskując swój zwykły spokój.

– Właśnie w tym problem. Nie udało mi się wydobyć z niego szczegółów. Nie wspomniał o ofierze, jeśli w ogóle jakaś była. Nie podawał konkretów, nie wymieniał nazwisk. Po prostu przyznał, że ta sprawa go dręczy. Rozmawialiśmy o niej może przez minutę, ale to i tak trwało dłużej niż wszystkie nasze dotychczasowe rozmowy o jego pracy.

– Czyli nie podał żadnych szczegółów?

Pokręciła głową.

– Na pewno niczego pani nie pamięta?

Skrzywiła się.

– Musi pan zrozumieć, że tata nie otwiera się przed ludźmi tak, jak robią to inni. Dla niego otwarciem się przede mną było to, że w ogóle wspomniał, że pracuje nad jakąś sprawą. I dziwnie na mnie popatrzył. Nie ujawniał szczegółów żadnych spraw, nad jakimi pracował przez trzydzieści pięć lat służby.

Zamilkła sfrustrowana. Przez chwilę sądziłem, że jednak uzna nasze spotkanie za zły pomysł, ale tylko skrzyżowała ręce na piersiach i odchyliła się na krześle.

– Tak czy owak, z jego słów wynikało, że ta sprawa ma jakiś związek z dochodzeniem, które kiedyś prowadził w policji. Nie od razu mi to zdradził, ale takie odniosłam wrażenie. Mówił o niej tak, jakby już ją znał. A kiedy próbowałam wyciągnąć z niego coś więcej, zmienił temat, jakby to nie miało

znaczenia. To nie treść naszej rozmowy była najważniejsza, raczej… – Urwała, kołysząc głową na boki, usiłując znaleźć właściwe słowa. Przeczesała włosy dłonią. – Istotniejszy był ton jego głosu i… smutek, który w nim wyczułam. Odkąd tata zniknął, najlepiej pamiętam właśnie, jak wyglądał tamtego dnia, a nie słowa, które wypowiadał.

– Pojechała pani się z nim spotkać w dniu jego urodzin, dwudziestego trzeciego lutego, a osiem dni później, trzeciego marca, pani ojciec zaginął?

Skinęła głową.

– Tak.

– Czy ma pani dokumentację sprawy, nad którą pracował?

– Nie.

– Nie było jej w domu?

– Nie. To była pierwsza rzecz, której szukałam, kiedy mama zadzwoniła i powiedziała mi, że tata zaginął. Pojechałam tam i wywróciłam wszystko do góry nogami, usiłując znaleźć te dokumenty.

– Mógł je trzymać gdzieś indziej?

– Niewykluczone. Ale dlaczego miałby to robić?

Oboje znaliśmy odpowiedź. Jednak pewna jej cząstka nie chciała myśleć o tym, że informacje znajdujące się w tamtych dokumentach wystarczyły, aby Franks wyszedł do szopy i nie wrócił. Istniało wiele powodów, dla których mógł trzymać dokumenty w innym miejscu, z dala od domu: ze względu na żonę, własne zdrowie psychiczne albo bezpieczeństwo. Może te dokumenty stanowiły zagrożenie. Albo ich zawartość tak go przytłaczała i niepokoiła, że nie potrafił sobie z tym poradzić.

Ale czy to mogło wystarczyć, aby po prostu wyszedł z domu i odwrócił się plecami do swojego życia, zostawiając żonę, córkę i wnuki? Trudno mi było w to uwierzyć, biorąc pod uwagę jego trzydziestopięcioletnią służbę w policji. Nie znałem go jednak, więc na razie nie mogłem tego wykluczyć.

Każdy ma jakieś granice wytrzymałości.

Popatrzyłem na Craw.

– Czy poza tym wydawało się pani, że z ojcem jest wszystko w porządku? Nic innego pani nie zaniepokoiło? Matka nigdy nie wspominała, że ojciec zachowuje się dziwnie?

– Chodzi panu o to, czy nie miał skłonności samobójczych?

Nie atakowała mnie wprost, ale wyraźnie dawała mi do zrozumienia: „Już szłam tą drogą, już się nad tym zastanawiałam i odpowiedź brzmi: nie".

– Ludzie, którzy postanawiają zniknąć, nie zawsze mają skłonności samobójcze – odparłem. – Czasami robią to, aby zacząć od nowa, uciec przed swoim życiem.

– Tata taki nie był.

– Czasami robią to dla dobra rodziny.

– Co dobrego wynikło z tego dla mamy?

– Właśnie w tym cały problem: nie wiemy, co zawierały dokumenty. Może to było bezinteresowne działanie. Może pani ojciec czuł, że odchodząc, wystawia was na mniejsze ryzyko.

Nic nie odpowiedziała, ale najwyraźniej jej nie przekonałem. Rozumiałem jej frustrację i wątpliwości, jakie wzbudzała w niej myśl, że ojciec mógł odejść z własnej woli – jednak wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, że należy rozpatrzyć każdą możliwość.

– Nie mieli problemów finansowych?

– Radzili sobie. Tata podjął się tych konsultacji, żeby sfinansować remont kuchni, ale i tak byłoby ich na niego stać. Po trzydziestu pięciu latach służby miał wysoką emeryturę.

– Dobrze się między nimi układało?

– Tak.

– Powiedzieliby pani, gdyby było inaczej?

– Wszystko było dobrze – oświadczyła, kładąc rozczapierzone dłonie na blacie; jej obrączka cicho stuknęła o fornir.

– Rozumiem – odrzekłem. – Ale czy powiedzieliby pani, gdyby mieli problemy?

Przez jej twarz przemknął uśmiech, gdy uświadomiła sobie, że teraz to ona jest przesłuchiwana.

– Mama tak. Tata był bardziej skryty. Wszystko chował w sobie.

Brzmi znajomo, pomyślałem. – Zupełnie jak Craw.

– Ma pani rodzeństwo?

– Brata. Carla.

– Gdzie mieszka?

– Osiem lat temu poznał dziewczynę z Australii i w dwa tysiące dziesiątym przeprowadził się do Sydney. Mogę umówić się z nim na rozmowę przez Skype'a – zaproponowała, ale oboje wiedzieliśmy, że skoro jest na drugim końcu świata, to raczej o niczym nie wie, a tym bardziej nie jest w tę sprawę zamieszany. Jakby na potwierdzenie tego Craw dodała: – Nie był w Wielkiej Brytanii od czasu wyjazdu.

– No dobrze. Kto przygotował dla pani akta ojca?

– Po tym, jak mama do mnie zadzwoniła, zawiozłam ją do komisariatu w Newton Abbot. Sprawą zajął się niejaki Reed. Iain Reed. – Przerwała i patrzyła, jak zapisuję to nazwisko, a w pokoju było tak cicho, że słyszałem skrobanie długopisu o papier. – Wydawał się bystry… obiecał, że ze wszystkimi porozmawia. Ale dwa tygodnie później zadzwonił do mnie i stało się jasne, że poszukiwania utknęły w martwym punkcie. Zdjęli odciski palców w domu, pobrali próbkę DNA, sprawdzili samochód taty, przepytali jego znajomych, Dereka Corteza, każdego, kto mógł mieć jakikolwiek związek z tą sprawą, ale niczego się nie dowiedzieli. Dlatego zaczęłam sama rozmawiać z ludźmi. Najpierw z Cortezem.

– Jakie zrobił na pani wrażenie?

– Byłam obłożona pracą, więc nie mogłam go zawlec do pokoju przesłuchań, aby wydusić z niego prawdę. Musiałam polegać na intuicji. Ale wydał mi się w porządku. To prostolinijny, staroświecki glina, który zapewne przez całą służbę ani razu nie nadstawił karku. Wątpię, aby był w cokolwiek za-

mieszany, nie licząc tego, że to on naraił tatę policji z Devon i Kornwalii.

– Cortez wiedział, co było w tamtych dokumentach?

– Nie. Powiedział, że nigdy nie miał wglądu w akta spraw, które wysyłano tacie. Tak to nie działa. Tylko tata mógł się z nimi zapoznawać.

– Sądzi pani, że to prawda?

– Myślę, że tak. Zadanie Corteza polegało na przekazaniu adresu taty i poleceniu go swojemu kontaktowi z CCRU, a później ludzie z CCRU zgłaszali się już bezpośrednio do taty.

– Kto był kontaktem pani ojca w CCRU?

– Inspektor Gavin Clark.

– Rozmawiała z nim pani?

– Tak. Różni się od Corteza, jest bardziej służbistą… pewnie dlatego, że wciąż pracuje w policji. Na początku nie powiedziałam mu, czym się zajmuję, ale kiedy zaczął mnie zbywać, odwołałam się do naszej „niebieskiej krwi". „Okaż mi solidarność. Jedziemy na tym samym wózku". W końcu uległ. – Przez chwilę miałem wrażenie, że Craw trochę straciła ducha walki. – Okazało się, że Clark nie przekazał tacie ani jednej sprawy.

To mnie zaskoczyło.

– Co takiego?

– Cortez polecił tatę Clarkowi. Ten porozmawiał z tatą przez telefon, a także otrzymał dobrą opinię o nim ze Scotland Yardu. Powiedział mi, że bardzo chciał skorzystać z doświadczenia taty, ale musiał zaczekać na załatwienie wszystkich formalności, zanim przesłałby tacie jakąkolwiek dokumentację.

– Chwileczkę, czyli pani ojciec wcale nie pracował nad sprawą dla CCRU?

– Nie.

– Uważa pani, że Clark kłamie?

– Nie, Clark nie kłamie, Cortez również nie, a tata także raczej by mnie nie okłamał. Jakkolwiek ta sprawa do niego trafiła, była autentyczna.